

Nowy Świat

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU” Poznań, 24-28 XII 1958 ROK VIII Nr 52-53

Pamiętnika ciąg dalszy

Jaśku — no, nie bądź taki uparty! Usiądź — po-
gadaj z panią...

Szczupła, blada kobieta dłoń gładzi cierpliwie rękaw wytartej nieco mężowskiej marynarki.

„O sobie? Pani droga — a cóż ja mogę... Nie, nie! Historię spiszę... To pamiętam. Cóż ja?”

Siwy, wysoki pan, wytorny — mimo domowego stroju, o sprężystych — mimo drżących już nieco rąk — ruchach stoi przede mną z ujmującym uśmiechem. Jak to się stało, że osiemdziesiąt, pełnych nieustającego trudu lat, nie pochyliło pleców ani nie zgasiło blasku oczu?

„Więc dobrze — mówię. — Zajrzyjmy do pamiętnika.”

Posłusznie pozwoliłam starszemu panu zaprowadzić się w odległy świat wspomnień. Pamiętnik na gęsto zapisane kartki pamiętnika, o który już dziś „bije się” kórnikowskie muzeum w Warszawie, patrzyłam na pomarszczone dłonie, słuchałam drżącego („to tylko ze wzruszenia” — szepnęła żona) głosu — a widziałam grupy młodzieńców w mundurach „pruskich gimnazjalistów”, spieszących na zebrania filaretów, słyszałam ich konspiracyjne szept, kiedy przy nikłym blasku naftowych lamp, wieczorami, w szkolnych salach, zbierali się na „narodowe obchody”. W jednym z takich obchodów udział wziął nawet jeden z profesorów, Polak, bardzo już zniezmioczony, któremu młodzi przypomnieli dawne lata. Sam wówczas, wzruszony, wznosił toast „niech żyje Polska!”...

Cierpliwie czekam, kiedy z kart pamiętnika wyjrzy twarz jego autora. Autor wołał jednak pisać o faktach — nie o sobie. O sobie wspomina krótko — jako o postaci jednej z wielu, ukrytej pod kryptonimem „X”.

„Tak, urodził się tutaj, w Krotoszynie — uzupełnia żona. — Tu chodził do gimnazjum, tu należał do kolek młodzieżowych. Organizował je tu i w Poznaniu i w Bydgoszczy i w Nakle i w Krakowie...”

Z „Czerwona Róża” rozpoczęło się bardzo romantycznie, jak w powieści. Był rok 1899. Delegaci różnych związków, kolek, stowarzyszeń, wysłani na zjazd do Poznania — nie znali się nawzajem. Postanowili więc wszyscy wpaść w butonierki — czerwone róże. „Czerwona róża” — to był pierwszy stopień służby narodowej. Miał na celu krzewienie polskości wśród dorastającej młodzieży.

„Mąż był w Niemczech przewodniczącym zarządu tajnego Związku Towarzystw Akademickich. Miał wtedy pierwszy proces i pierwszy raz był w więzieniu — 4 miesiące. O, niech pani słucha, jak takie różne „wypadki” wyglądają!”

Zima 1900 roku. Szalejąca burza śnieżna zatrzymuje jadący do Warszawy pociąg gdzieś w polu. Podróżni marzną, klną. Najbardziej denerwuje się grupa młodych studentów, którzy nie wiedzą jeszcze, że to nie pech, lecz szczęście stanęło im na drodze.

W tym samym bowiem czasie w Warszawie, na umówionej ulicy, w umówionym domu carscy żandarmi przeprowadzają rewizję. Ktoś po bohatersku usiłuje połknąć wypisany na kartce projekt statutu organizacji. Nienawykli jednak do takich czynności dławili się, błędnie. Żandarm, myśląc, że młodzieniec słabnie — podaje mu szklanek wody i statut... spływa do żołądka.

„Dyplom doktora medycyny otrzymał mąż w Würzburgu. Ale studiował i w Monachium

i w Genewie i w Krakowie — chirurgię i ginekologię. Boże, ilem się namartwiła, kiedy zamknięto go na dwa miesiące w carskim więzieniu w Będzinie, a potem — również na dwa miesiące w pruskim...”

Pamiętnik mówi o przewożeniu bibuły. O „Iksie” w dalszym ciągu skąpo na jego kartkach.

„Za tamtej, pierwszej wojny — lekarz wojenny pruski, w 1919 roku — przewodniczący Rady Robotników i Żołnierzy, za czasów hitlerowskiej okupacji — lekarz partyzantów w Kielecczyźnie. Tych z AK, a także radzieckich spadochroniarzy, na przykład kapitana „Anatola”. Właśnie w tych czasach...” — tu żona pana doktora milknie, jakby zakłopotana.

Chłopska furka wiezie nocą lekarza do rannego partyzanta. Koła skaczą po leśnych wykrótach, podskakują na zamarzniętych koleinach. Nagle ciszę przerywa brutalne „halt!”... Zgiełk głosów, strzały, dzikie rżenie koni... Błysk rzuconej miny. Wywróconą furkę ciągną oszalałe ze strachu konie; jej pasażerowie, ranni, przycupnęli w rowie. Ocalili ich znarowione konie, za którymi pobiegli Niemcy.

Od tej właśnie wyprawy i tej kontuzji datuje się utrata słuchu doktora. Odtąd także za czyną się wspaniała historia

przyjaźni lekarza i jego żony — pielęgniarki i instrumentariuszki.

„Byłam przy każdej jego operacji — mówi — bo tylko mnie słyszał bez wysiłku.”

Ta wspólna pomoc niesiona cierpiącym — to znowu tylko małe wycinek długiej praktyki lekarskiej mojego rozmówcy. Zapoczątkowało ją stanowisko „ogólnie praktykującego lekarza” w Krotoszynie, uświetnił tytuł dyrektora krotoszyńskiego szpitala, utrwalili później obowiązki ordynatora oddziału chirurgicznego i ginekologicznego. Największą zaś radością i wzruszeniem opromieniły ją codzienne niemal wizyty licznych krotoszyńian: „panie doktorze — niech pan koniecznie do nas przyjdzie. Dziecko mi choruje...”

Ale o tym już w pamiętniku nie ma żadnej wzmianki. Jest to niezamknięty rozdział, rozdział jeszcze nie zapisany do końca. Doktor Bolewski jest dziś na zasłużonej emeryturze. Mieszka w małym domku przy jednej z uliczek Krotoszyna, ale w dalszym ciągu żywo interesuje się życiem i ludźmi, zawsze życzliwy i chętnie niosący pomoc.

Dalszy ciąg pamiętnika pisze życie.

„Nic nadzwyczajnego nie robiłem — znaczyło „robiłem wszystko co mogłem, na co starczyło sił, zdrowia, umiejętności”. „Nic takiego” — oznaczało dzieło osiemdziesięcioletniej służby dla dobra ludzi. To chyba właśnie tacy są — na codzień, bez cokołów — prawdziwi bojownicy, bohaterowie wojen, laboratoriów naukowych i artystycznych pracowni. To chyba właśnie dlatego ich dzieła są tak wielkie, że tworzą je z nieodpartej potrzeby serca i umysłu.

Wanda CHILA



Co też dziś znajdę pod choinką?...

CAF — fot. Zyg. Wdowiński

Było to czterdzieści lat temu...

W przededniu 40 rocznicy Powstania Wielkopolskiego zamieszczamy fragment wspomnień jego uczestnika, Wacława Noskowiaka, spisanych w książce pt. „Naprzód wiara”! Fragment ten dotyczy bitwy o Radwanki — na froncie północnym powstania, które jak wiadomo objęło całą Wielkopolskę, by zakończyć się upragnionym wyzwoleniem od okupanta.

Ciemność była dobrym karabin do przodu, i wystrzelił prosto w pierś nieprzyjaciela. Żołnierz zachwiał się na chwilę, zrobił pół obrotu, puścił broń z ręki i padł na ziemię jęcząc: „Ooo... mein Gott” (o mój Boże) bił rękoma jakby chciał wstać i powiedzieć: „Kamerad, dlaczegoś to uczynił? Nie moja to wina, że mnie tutaj przysłali walczyć przeciwko wam!”

Strzał głośnym echem odbił się po pustym, ciemnym polu. Komendant powstańców przygryzł wargi, ścisnął pięść i powiedział: — Ech Jakaś fuszera jest odwalona. Albo nasz Wacek leży... albo Wacek Niemca rozciągnął.

Koń pod Wackiem odskoczył w bok, wspiął się stanął dęba, parsknął, przeskoczył przez zabitego i ruszył z miejsca jak wichur w stronę wiarusów. Łącznik momentalnie szarpnął mocno za cugle i skierował konia w pełnym galopie w lewą stronę. Karabin przerzucił przez plecy, by mieć ręce wolne, i pochylił się na prawą stronę konia, co uchronić go miało przed strzałami ze strony Niemców.

Zwierzę pędziło, sapiąc, a jeździec wisił na jednym strzemienu, mocno pochyłony. Sytuacja była krytyczna: z tyłu Niemcy, z przodu Polacy a on w środku. I stało się tak, jak Wacek przewidywał. Karabiny maszynowe ze strony Grenzschutzu zagrały ostro. Wzięły jeźdźcę — mimo ciemności w krzyżowy ogień. Koń sapął z wysiłku, nagle zadął jak w febrze, wspiął się w górę, rzucił głową do góry i runął całym ciężarem na ziemię. Jeździec w czasie puścił konia i odskoczył w bok. Wackowi lzy zwilżyły oczy. Podczołgał się blisko konia, pogłaskał go czule po głowie i wyszeptał:

— Tyś mi koniku kochany życie uratował — po czym w podskokach zbliżył się do swoich. — Wiara nie strzelać! To nasz łącznik! — krzychało braćtwo. Strzał zaalarmował Niemców i postawił wszystkich kto-

rzy żyli na równe nogi. Rozpoczęła się godzina śmiertelnej gonitwy. Krzyki, hałas, alarm... Wiedzieli oni dobrze, po co powstańcy pojawili się niespodzianie jak duchy.

— W tyraliery! zakomenderował dowódca. — Po 10 kroków odstęp!

Jak bryskawica rozsypała się kompania.

— Kłasek się na ziemię, chłopcy i ciąganego, krytego, w podskokach — padła znów komenda.

Cały sens działania bojowego sprowadzał się teraz do szybkiego natarcia powstańców.

Wiktor Skotarczak tę akcję prowadził i był za nią odpowiedzialny. Jeden pluton powstańców przeznaczony do zaślania lewego skrzydła, który powierzony został Majorowi Chrzakowi. Prawe skrzydło brał Ignacy Wegner, środek — Antoni Skotarczak, również frontowy, stary podoficer. Dowódcy grup byli już gotowi, czekano tylko na sygnał samego dowódcy, co też niebawem nastąpiło.

Ruszyli.

Komendant ze swoim oddziałem uderzył od strony cmentarza, czego Niemcy najmniej się spodziewali. Rozległy się ich okrzyki:

— Kameraden! Achtung! Polnische Banden!

Dowódcy grup wiedzieli dobrze, jak się wziąć ze swymi zuchami do tej roboty. Z pierśi wszystkich wyrwało się hasło:

— Naprzód, wiara! Niech żyje Polska!

Karabiny maszynowe wroga uderzyły bełtośnie między atakujących. Od strony zachodniej Grenzschutz odezwał się artyleria, która stała za wioską. Pękające pociski uderzały gęsto wyrzucając fontanny ziemi w powietrze i prażąc odłamkami.

Poczęły się też tworzyć luki w szeregach powstańców, lecz to wszystko ich nie powstrzymało. Wśród huku armat, pękających szrapneli i granatów wśród prażącego ognia kulomiotów — wiara parła naprzód...

Józef Baranowski

Baśń grudniowa

Wieczór — jak w śnieżnej baśni

Andersena:

Domek wśród szklanych sopli z okienkiem czerwonym,

W którym dziś zamieszkamy — wraz z nami wspomnienia —

Wspólnie je odnajdziemy pod drzewkiem zielonym...

Srebrna trąbka jak dawniej wyczaruje dźwięki,

Kudłaty miś zamruczy lalkom kotysanki,

Śnieg zatańczy za oknem w takt naszej piosenki.

Zimne ognie z gałązek strąca gwiazdki.

I wyczaruje wieczór dzwonki u saneczek,

A w nich szyszkowy dziadek i leśne krasnale...

Stanie pod oknem jeleni wpatrzony w blask świeczek,

Nim odejdzie w zadymkę śnieżną głębią alej —

I już noc jest za oknem, a w pokoju światło.

Tylko cień drży na ścianie od świateł i lichtarzy.

Jak prosto wyczarować świat piękna, jak łatwo,

W tę noc zbratania ludzkich serc, dziecięcych marzeń...

Wszystko dzisiaj znajdziemy pod drzewkiem zielonym:

Jest dziadek do orzechów... Wtem nagły krzyk dzieci:

To gwiazdor staje w progu mrozem wysrebrzony!

— Jest noc, w której i miłość i pokój na świecie.

I jeszcze się zaproszą na grudniowe święta

Śnieżne wiersze do domku z czerwonym okienkiem

I mrok czasu wspomnieniem wspólnym upamiętnią.

— — Śnieg prósz. Sanki dzwonią. I śmiech i piosenki.



Ilustr.: St. Mrowiński

Opowiadania o Człowieczku

ŚWIAT, KTÓRY UCIEKA

Z małego drewnianego pomostu, albo gdy zimno — przez okienko budki, patrzy na świat, który ucieka. Świat zawsze zostaje za nim; ucieka i zostaje. Duże miasta, dworce i domy oddalają się, stają się coraz mniejsze, maleńkie jak pudełka od zapalek — potem nikną.

Ludzie razem biją młotami w dużych fabrycznych halach, inni razem kładą cegły na coraz wyższe piętra, inni wreszcie razem w jasnych pokojach piszą, liczą na maszynach i piją czarną kawę.

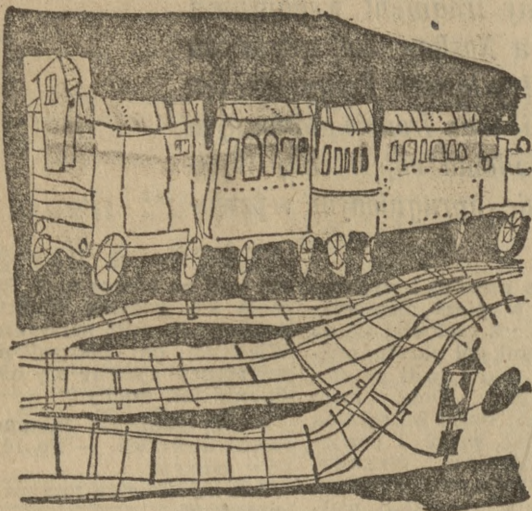
A za nim, samotnym — ciągle ucieka i zostaje cały świat. Kiedy uciekną domy, dworce i miasta, podchodzą pola, wsie, lasy i rzeki. Zrazu są wielkie, potem oddalają się, maleją, aż wreszcie nikną zupełnie, ustępując miejsca nowym krajobrazom.

Przez miasta i wsie jadą długie, sapiące, towarowe pociągi. Na końcu każdego takiego pociągu, w ciasnej budce z trzema czerwonymi latarniami jedzie samotny człowieczek, za którym ciągle zostaje świat. I zimą i latem. I we dnie i w nocy.

Z małego drewnianego pomostu, albo gdy zimno, przez okienko budki patrzy na świat, który ucieka. I nawet odezwać się nie ma do kogo o tym co myśli. A przecież to nie świat ucieka przed nim, bo miasta i wsie mają na mapach swoje stałe miejsca. To, co się oddala i na co patrzy przez tylne okienko swojej budki z czerwonymi latarniami, to jego życie, które upływa, dnie i lata jego pracy.

Inni ludzie mierzą trud swego życia ilością zbudowanych domów, zasadzonych drzew czy napisanych wierszy. On — ilością kilometrów czarnych szyn, które uciekają, zostają za nim, nikną. Więc praca pracy nie równa, choć każda na pozór ważna i odpowiedzialna.

Gdy był młody i większość swoich dni widział jeszcze przed sobą, może myślał, że kiedyś, na swój sposób, będzie budować i przetwarzać ten świat i że zostanie po nim coś bardziej trwałego. Może nawet myślał o tym kiedyś, ale teraz już nie ma takich myśli.



Trudząc się i sapiąc, jadą przez wsie i miasta długie towarowe pociągi. Na końcu każdego z nich jest mała budka z trzema czerwonymi latarniami. Więc jeśli kiedyś minie was taki pociąg, popatrzcie uważnie na małe okienko ostatniej budki. Ujrzyście tam za szybą szarą twarz człowieczka, któremu ucieka i świat i życie, a który przecież myślał kiedyś, że zostanie po nim coś bardziej trwałego, o czym będą wspominać inni, gdy jego już nie będzie.

STRACH LUDZKI

Ludzie ludzi się teraz boją,
a miało być nie tak...
(Maria Dąbrowska: „Na wsi wesele”)

Zebrań było bardzo burzliwe, skakano sobie do oczu, wtykano dawne błędy i winy, ale wreszcie się skończyło. Z małej salki, pełnej niebieskiego dymu, wyszedł prawie ostatni. Zaraz za drzwiami owionęła go ciemność i łagodny chłód kwietniowego wieczora.

Ale ciemnica! — myślał Na dwa kroki nie widać nawet. Trzeba było w takiej ciemnicy iść trzy kilometry do domu. A gdzie tamci, co przed nim wyszli z zebrań? Nawet nie słyszał ich głosów, a przecież powinni byli iść w tym samym co on kierunku. Chyba i ten rudy wyszedł razem z tamtymi... I czemu tak się mu odgrażał? Za słuszną krytykę? Przecież to, co powiedział na zebraniu rudemu w oczy, przy wszystkich ludziach — to prawda. Inni widać boją się rudego i chociaż wiedzą, że kradnie zboże z magazynu i robi machlojki, to jednak wolą milczeć. Po co mu się narażać — powiada — mściwa bestia, zaczął się gdzie przy drodze wieczorem, wpakuje nóż w plecy, a potem nawet mu nie udowodnisz.

Minął mały zagajnik, przeszedł kładkę na strumyku i znalazł się wreszcie na prostej, piaszczystej drodze biegnącej wśród pól. Chyba jeszcze z kilometr tą drogą, potem na skos przez miedzę i już będzie widać pierwsze domy. Nie był tchórzliwy, ale przyspieszył kroku. Nie brał poważnie pogroźek rudego, ale chciał być już jak najszybciej w domu. Nie bał się mówić innym prawdy w oczy, nawet tej prawdy nieprzejemnej, nie bał się stawiać czoła nawet groźnym niebezpieczeństwom, ale nie czuł się dobrze tego wieczora. Bo rudy i tak by nie stanął do walki. Rudy mógł się tylko mścić, działać nagle, podstępnie. Z ukrycia.

Więc jeszcze przyspieszył kroku. Potknął się o jakiś korzeń, otworzył szerzej oczy żeby choć trochę rozróżniać kształty drzew i krzaków przydrożnych. I nagle, co to? Przy-

stanął. Majaczy mu się, czy jak? Nie, to nie złudzenie. Na polu, ze dwadzieścia kroków od niego stoi nieruchomo rosły mężczyzna. Twarzy nie widać, bo ciemno, ale na tle siwych chmur rysuje się wyraźnie barczysta sylwetka z kapeluszem spuszczonego na oczy. Na pewno rudy. Co robić, jak działać? Patrzy na sylwetkę stojącą nieruchomo na polu, nachyla się, grzebie ręką w przydrożnym piachu, znajduje duży kamień i ścisną go w rękę. Potem powoli idzie w kierunku tamtego. Sam nie zaczyna, ale jeśli... Jeszcze mocniej ścisną kamień, aż palce w stawach zatrzęsły. Co będzie to będzie, tak



to on może, przynajmniej twarzą w twarz. Tamten nadal stoi nieruchomo, nawet nie drgnie. Więc powoli, krok po kroku, idzie po świeżo zasianym polu, potem czuje coś jakby pot na czole i zaraz wybucha głośnym histerycznym śmiechem.

Cisza panowała tego wieczora; a że od swego domu był już niedaleko, więc żona, która była na podwórzu, posłyszała ten jego jakiś dziwny śmiech i zlekła się bardzo. Potem, gdy nie zapalając światła, kładł się obok niej pod pierzynę, powiedział: „strachliwy coś się robię teraz. Rudy odgrażał mi się na zebraniu, a wracając zlakiem się tego stracha na wróble, co stoi na polu Woźniacki”.

O kilka domów dalej, kładł się pod pierzynę obok swojej żony Rudy i mówił: „ten znowu nagadał dzisiaj na zebraniu w świetlicy, ale miał trochę racji i ludzie byli po jego stronie. Trzeba będzie teraz z tym zbożem trochę inaczej”.

Wieczór już nie był taki ciemny, bo właśnie zaczął wschodzić księżyc i rozświetlił piaszczystą drogę i wierzchołki drzew. Na pobliskim polu stał sobie spokojnie strach na wróble, którego tym bardziej lękają się i ptaki i ludzie, im bardziej podobny jest do człowieka.

DROGI DALEKIE

Pani Kazimierz Ilakowicz

Jeżeli kiedyś będziecie jechać tą boczną, zapadłą wśród lasów szosą, pozdrowicie go serdecznie. Uchylcie z godnością czapki czy pilśniowego kapelusza i powiedzcie: „Dzień dobry człowieczku. Pokłon tobie i twojej pracy”.

Na tej szosie ruch jest bardzo mały. Dziennie przejeżdżają tu zaledwie kilka furmanek, kilku rowerzystów, czasem jakiś samochód. Tutejsi chłopcy znają człowieczka dawno, chociaż nie bardzo nawet wiedzą, jak się nazywa. Mówią o nim: „drożnik”, chociaż drożnikiem nie był nigdy. Jest tylko robotnikiem drogowym. Na tym odcinku bocznej, zapadłej wśród lasów szosy, pracuje przeszło czterdzieści lat. Mieszka samotnie w małym domku na skraju lasu. Większych miast nie widział nigdy. Koleją nie jeździł — bo i po co, gazet nie czyta. Wszyscy, którzy go znają, mówią o nim: dziwak trochę i odludek, ale kocha swój zawód.

Od świtu do późnych godzin popołudnia spotyka go z łopatą, kilofem czy ubijakiem na różnych odcinkach tej zapadłej szosy. Zajrzyjcie choć na moment w jego oczy, a wyczytacie w nich cichą radość. Przecież szosa jest stara, a dziur w niej nie ma, wasze auta nie skaczą po wybojach. Ale auta jeżdżą po tej bocznej szosie bardzo rzadko. Lata płyną, a człowieczkowi jest coraz bardziej smutno, że nikt nie chce oceniać jego pracy. Przecież zapłata to jeszcze nie ocena. Bywało do niedawna, że gdy zobaczył nadjeżdżający



samochód, wyprostowywał plecy i uchylał czapki. Ale odkąd pamięta, to tylko raz mu się odskłonił sofer z ciężarówką. Ci z osobowych nawet nie spojrzą w jego stronę. Po co więc ma się kłaniać?

Nieraz, gdy przez kilka godzin nikt nie jedzie, wychodzi na środek szosy, opiera się o rękojeść łopaty i patrzy w perspektywę swojej drogi. Może czeka jeszcze na coś czy na kogoś.

Więc jeśli kiedyś będziecie jechać tą zapadłą szosą, pozdrowicie go serdecznie. Uchylcie z godnością czapki czy pilśniowego kapelusza i powiedzcie: „Dzień dobry człowieczku. Pokłon tobie i twojej pracy.”

Czy wiecie, kto to był Skrzetuski? Oczywiście — powiecie — doskonały żołnierz, rycerz bez skazy, romantyczny wielbiciel Heleny, którą pan Zagłoba wykradał Bohunowi. Ale kim był Skrzetuski naprawdę?

MAŁO ZNANE PRZYGODY JANA SKRZETUSKIEGO

(rodem z Poznania)

BARDZO CZĘSTO wizja literacka przesłania nam prawdziwy obraz bohatera, przekazywany przez badaczy historii. Tak było np. z czterema muszkieterami z powieści Dumasa. Wyniki studiów nie wywołały większego zainteresowania i pozostały skromnym przyczynkiem do dziejów szlachty francuskiej z czasów kardynała Richelieu. Ale bywa i odwrotnie. Rozprawy „odrażniające” bohaterów Sienkiewiczowskiej „Trylogii”, ogłoszone w swoim czasie przez prof. Olgierda Górke, ukazały nam sylwetki bardzo ciekawe. Jeśli publikacje Górki nie spotkały się z życzliwym przyjęciem, to winę ponosi tu tendencyjność jego opinii, a także niechęć niejednego czytelnika „Trylogii”. W każdym razie informacje Górki, uzupełnione późniejszymi badaniami, dają podstawę do pełniejszych wyobrażeń o rycerzach z okresu „Potopu”.

Walory wojenne Skrzetuskiego nie ulegają wątpliwości. Faktem jest szczęśliwa próba przedostania się pana Jana z oblężonego Zbaraża do obozu królewskiego pod Zborowem. Posiadamy również wiarogodne świadectwa, że bohater „Ogniem i mieczem” dokonywał wielu udanych wypadów dla zapania jeńców i uzyskania informacji o ruchach wojsk przeciwnika. Sam Jan Chryzostom Pasek przytacza epizody jednego z takich zagonów, podczas którego Skrzetuski błysnął dużym talentem wojskowym, odwagą i pomysłowością.

Sienkiewicz ogranicza działalność swego bohatera powieściowego do stosunkowo krótkiej kampanii na Ukrainie. W rzeczywistości Jan Skrzetuski, a właściwie Mikołaj Jan, pełnił zaszczytną służbę żołnierską od 1648 do 1671 roku na niemal wszystkich frontach wojennych, a także w wyprawie do Danii. W tym okresie zdobywał sobie uznanie podkomendnych i zwierzchników, awansując do stopnia porucznika i rotmistrza. Nie zakończył więc wojowania pod Beresteczkiem — jak wspomina Sienkiewicz w „Potopie” — ale u boku króla Jana Sobieskiego.

Ala są to drobnostki w porównaniu z innymi faktami podanymi przez Górke. Otóż wskazuje on, że pan Skrzetuski (ten sam Mikołaj Jan) dwukrotnie został... skazany przez trybunał lubelski na banicję czyli wygnanie z kraju. Przyczyną pierwszego wyroku była odmowa wydania dwóch podkomendnych, oskarżonych o zabicie jakiegoś hajduka w burdzie ulicznej. Po raz wtóry chodziło o ściąganie nadmiernych kontrybucji z dóbr królewskich przez oddziały naszego bohatera. Oczywiście podobne fakty nie mieściły się w idealizującym portrecie literackim, stworzonym przez Sienkiewicza, ale nie mogą

dyskwalifikować Skrzetuskiego jako dowódcy chorągwi Tatarów*) czy Wołoszy, a więc ludzi zaciężnych, przeważnie nieopłacanych ze skarbu królewskiego i nieusposobionych do trzymania się w ryzach dyscypliny. Były to zresztą czasy burzliwe i trudne.

Na bohatera „Ogniem i mieczem” ciąży jednak dwa inne winy, tym razem obciążające go osobiście. W początkach służby wojskowej przepił Skrzetuski z ogromnego pułcharu do rotmistrza piechoty Pobiatyńskiego, a następnie w drodze powrotnej posiekał swego towarzysza i zostawił go na pół żywego na drodze. (Mimo woli przypominają się tu sławetne poczynania Kmicica i jego kompanii na Litwie, o których pisze Sienkiewicz w pierwszym tomie „Potopu”). W późniejszym wieku dokonał niemniej zuchwałego i — według ówczesnych zwyczajów — bardzo szpetnego postępuku, mianowicie porwał damę swego serca. Nie było to jednak „raptus puellae”, bo dama — Zofia Zawadzka żyła już w stanie wdowieńskim i napastnikowi potrafiła szybko utemperować. Ten epizod i stwierdzenie, że pan Mikołaj pozostał do śmierci kawalerem — mogą nieco rozczarować co romantyczniejszych czytelników „Ogniem i mieczem”.

Nie popadajmy jednak w przesadę (jak Górka) i nie potępijmy Sienkiewicza w czambuł. Jako pisarz miał on prawo stworzyć takiego bohatera, jakiego wyznaczała mu jego koncepcja (a pisał, jak wiadomo, „ku pokrzepieniu serc”). Zresztą to mniej nieskazitelne cechy Skrzetuskiego jako postaci historycznej odnajdziemy u innych bohaterów Trylogii — np. u Bohuna czy Kmicica.

Najbardziej dla nas interesujące są związki Skrzetuskiego z Poznaniem. Wbrew Sienkiewiczowi który przedstawił go jako szlachcica Ziemi Łomżyńskiej, nasz bohater pochodzi z Rożnowa w powiecie poznańskim.

Kilkakrotnie „zawadzał” w swych wyprawach o nasze miasto, aby wreszcie osiąść w nim na stałe pod koniec życia. Kupił sobie kamieniczkę przy Starym Rynku pod nr 55 i w niej też zmarł. Pochowano go w podziemiach kościołka przy ul. Wronieckiej.

Skrzetuski, jako syn drobnej szlachty, wybrał najtrudniejszą karierę w owych czasach. Mimo wyroków trybunału i innej rodziny, a może także z tego powodu — stanowił ciągle interesującą sylwetkę człowieka wieku XVII i zasługuje na poważny szkic biograficzny. Al może nawet na nowy portret literacki?

J. M.

*) Czarnkowski, który przekazał Skrzetuskiemu tę chorągiew, został z żołdem do 7 tys. złotych!

W sprawie konkursu literackiego »NOWEGO ŚWIATA«

Na konkurs literacki na krótkie opowiadanie (nowele, wspomnienie), ogłoszony na naszych łamach 12 października br., napłynęło do dziś 58 prac. Przypominamy, że termin nadsyłania prac mija 31 grudnia br., że tematyka utworów jest dowolna, objętość prac nie powinna przekraczać 7

stron maszynopisu z podwójnym odstępem i 4-centymetrowym marginesem, oraz że wysokość nagród wynosi 8 tysięcy zł., w tym nagroda dodatkowa (1 tys. zł.) za najlepszy utwór związany tematycznie z naszym regionem lub Ziemią Zachodnią. Podajemy również skład konkursowego jury: Przemysław Bystrzycki i Jerzy Korczak (Związek Literatów Polskich), Elżbieta Pawłówna (Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich) oraz Janusz Likowski („Głos Wielkopolski”) i Janusz Biniak („Nowy Świat”). Wyniki konkursu ogłosimy prawdopodobnie w lutym roku przyszłego.

Twórczość architektoniczna interesuje coraz bardziej społeczeństwo. Ale jest to inne zainteresowanie, niż dawniej.

START JEST DOBRY!

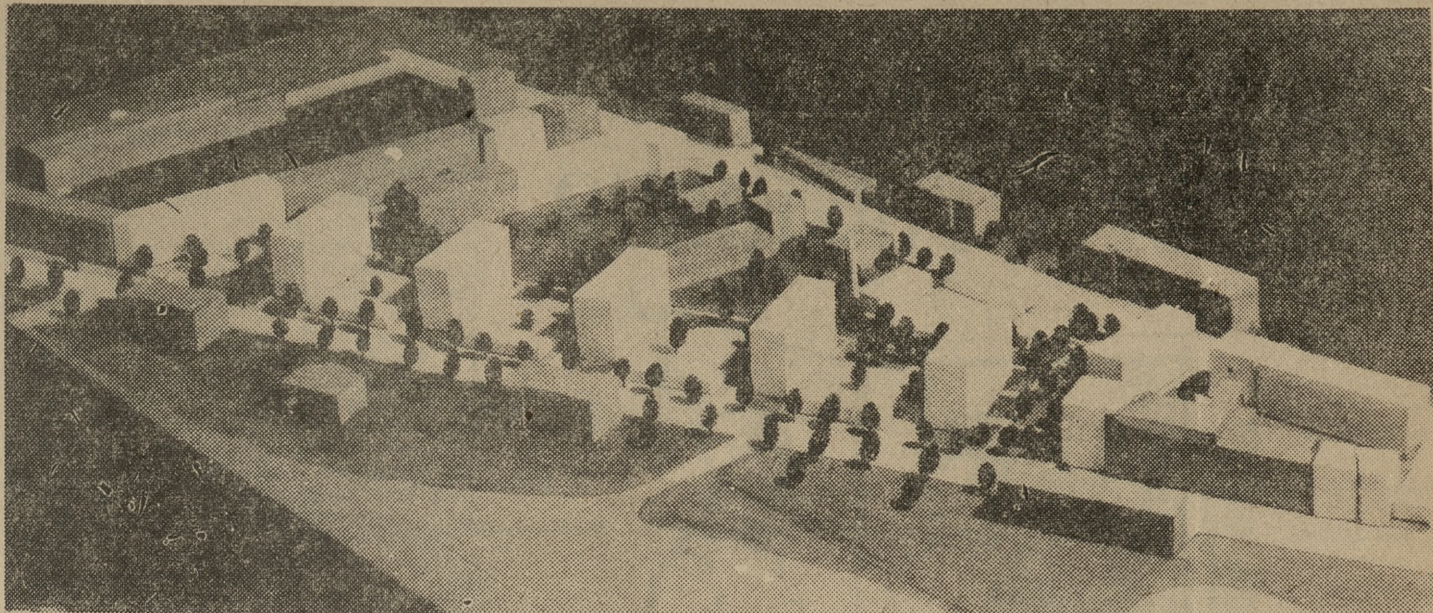
W ubiegłych latach projekty nowych obiektów, osiedli czy dzielnic oglądano z uczuciem zadowolenia, że zniszczone w toku działań wojennych miasto zyska nowe domy. Potem — mimo niewątpliwych osiągnięć — przyszło rozczarowanie. Nie wszystkie wizje przyszłości zostały urzeczywistnione, a te, które zrealizowano, za efektownymi fasadami ukrywały ciasnotę pomieszczeń, złe rozplanowanie i mnóstwo usterek. Dyskusja nad kierunkami architektury, która nastąpiła po wzniesieniu budowli, była w gruncie rzeczy dość jałowa. Po cóż biadać nad faktami dokonanymi, skoro w budownictwie nie da się ich ani zmienić ani skorygować?

PRZYSZŁY LOKATOR — NAJLEPSZY INSPEKTOR

W tym roku zaczynają powstawać w Poznaniu pierwsze osiedla spółdzielcze. Po raz pierwszy przyszli użytkownicy mieszkań zyskali pewien wpływ na lokalizację budynków, zostali dopuszczeni do dyskusji, czy określony projekt odpowiada ich potrzebom i wymaganiom, ujęli za pośrednictwem własnych inspektorów sprawę nadzoru nad

jakością wykonywanych prac budowlanych. Poszczególne spółdzielnie typu lokatorskiego decydują więc, w jakich mieszkaniach będą mieszkać ich udziałowcy (układ wnętrza i powierzchni, oczywiście w granicach ustalonych norm). Stwierdzają te przyniosły w tym roku dobre efekty.

Poznańska Spółdzielnia Mieszkaniowa buduje np. trzy bloki wzdłuż Alei Przybyszewskiego, a Spółdzielnia „Grunwald” wznosi siedem bloków z pawilonami usługowymi i klubem — tuż za „Domem Prasy”, o kilkaset metrów bliżej śródmieścia niż realizowane równocześnie osiedla przyzakładowe i DBOR-owskie. A zatem spółdzielczość stała się rzecznikiem zbliżenia osiedli mieszkalnych do centrum, wbrew upartym i nie bardzo zrozumiałym tendencjom zabudowy peryferii przez DBOR i niektóre zakłady pracy. O korzyściach, wynikających z tego faktu nie trzeba się rozpisywać. Wydaje się, że dalszy nacisk nowych inwestorów w kierunku szukania lokalizacji bliżej śródmieścia — pozwoli wreszcie wypełnić przykre luki, jakie powstały między nim a dzielnicami, przyłączonymi później do miasta.



Tak będzie wyglądało osiedle, budowane między ul. Grunwaldzką a Marcelesińską w Poznaniu. Między blokami widoczne pawilony handlowo-usługowe.

ZALETY UŻYTKOWE

Spółdzielczość potraktowała również w sposób bardzo dojrzały sprawę architektury tych osiedli. Zwróciła uwagę na jej funkcję — czyli zalety użytkowe.

I tak PSM w swoich blokach przy Alei Przybyszewskiego (projekt inż. arch. Koniecznego), zaplanowała większy procent mieszkań dwu i trzypokojowych (stanowią one dwie trzecie wszystkich mieszkań). Pokój z kuchnią otrzymał stosunkowo dużą powierzchnię (31 m²), co pozwala na wygodne użytkowanie przez małżeństwo bezdzietne lub z jednym dzieckiem. Wprawdzie przekroczone przy tym normy o 8 proc., ale w danym przypadku można to usprawiedliwić.

Osiedle spółdzielni „Grunwald” trzeba ocenić jako chyba najlepszą — w naszych warunkach — realizację budownictwa mieszkaniowego w wojennym Poznaniu.

Każda kondygnacja zaplanowanych i już wznoszonych bloków zawiera jedno mieszkanie 4-pokojowe, jedno trzypokojowe, dwa — dwupokojowe i jedno — pokój z kuchnią. Tak duże zróżnicowanie ilości metrażu daje szerokie moż-

liwości zaspokojenia różnych wymagań. Najbardziej chyba cieszy stosunkowo pokaźna liczba dużych mieszkań. Nowe budownictwo przestaje być w pewnym sensie budownictwem typu hotelowego, które — w perspektywie — mieściłby zarodek konfliktów rodzinnych.

Pięć bloków „Grunwald” będzie ustawionych szczytami do ulicy Grunwaldzkiej, co zapewni im dobre nasłonecznienie i przewiewność. Każdy z nich będzie posiadał po 7 kondygnacji mieszkalnych i osmą przeznaczoną na pralnie i tarasy. Projektanci — inż. arch.: Bogdan Cybulski i Stefan Słoński — zapewnili każdej rodzinie możliwość korzystania z „logii”, a ponad to — od południa — z balkonu. Sylwetki budynków dzięki swej wysokości i szachownicy „logii” prezentują się bardzo przyjemnie. Okazało się, że dobre rozwiązania wnętrza wcale nie przeszkadzają w nadaniu blokom estetycznej fasady.

SKLEPY MIĘDZY BLOKAMI

Wprawdzie „wysokościowce” mieszkaniowe — nie są jakimś krzykiem najnowszej architektury, posiadają bowiem z konieczności uproszczone formy i pewien szablon w traktowaniu szczegółów — ale te, w warunkach Poznania, stanowią przykład poprawnej roboty.

Osiedle „Grunwald” ma jeszcze jeden walor. Myślę o projekcie „zainstalowania” w przestrzeniach międzyblokowych — parterowych pawilonów z żelbetu i szkła, przeznaczonych na sklepy kilku-nastu zasadniczych branż, warsztatów rzemieślniczych i klub dla mieszkańców osiedla. Nie chodzi tu o prymitywne konstrukcje, stawiane przez tzw. inicjatywę prywatną dla doraźnych efektów w śródmieściu, lecz o obszerne, wysokie lokale z odpowiednim zapleczem. Tutaj znajdujemy wreszcie dogodny typ pawilonu handlowego, o który od lat walczą mieszkańcy osiedli DBOR-owskich, a który nie będzie „kradli” cennej kubatury mieszkaniowej.

Dodajmy, że członkowie tej spółdzielni i jednocześnie jej lokatorzy zobowiązali się, że wezmą udział w urzędzeniu i konserwacji zieleni międzyblokami. Oznacza to, że spółdzielczość znalazła sposób na ochronę nieodłącznych elementów otoczenia osiedla. Spółdzielczość znajduje też chyba radę na „bólący” problem jakości wykonania. Po raz pierwszy obserwujemy drobniogłową kontrolę prac przedsiębiorstw przez inspektorów, zdecydowaną ingerencję inwestora w zakresie jakości robot. Przyszli użytkownicy, wpłacając swój udział, żądają mieszkań bez usterek i mają do tego pełne prawo. W ten sposób znaleziono właściwy bo najbardziej pewny środek do walki z brakorobstwem.

Optymistyczne akcenty moich spostrzeżeń nie oznaczają, że w rozwoju budownictwa spółdzielczego nie widzę problemów do rozwiązania. W najbliższym czasie dadzą się odczuć poważne kłopoty ze zbyciem odpowiednich terenów, z koniecznością organizowania pracowni architektonicznych pracujących dla spółdzielczości, które by ściślej związały twórców z użytkownikami, wreszcie — z ciągle aktualnymi — brakami kadr pracowników budownictwa. Niechaj więc pomyślny — jak mnie się wydaje — start będzie bodźcem dla spółdzielni mieszkaniowych dla pomyślnego kontynuowania zapoczątkowanego dzieła.

Rozmawiał:
K. STACHOWSKI

Józef MODRZEJEWSKI

KIEDY



SIĘ ŻENIĆ?

Poprosiliśmy socjologa, prawnika i psychiatrę, aby zabrali głos w tej sprawie.

— Mówi dr Zygmunt Dulczewski, socjolog:

Słyszysz się zdania, że granica wieku dla wstępujących w związki małżeńskie powinna wynieść: 21 lat dla kobiet i 24 dla mężczyzn. Taka reforma byłaby bezsprzecznie słuszną. Zbyt młodzi partnerzy nie uświadamiają sobie należycie wynikających z tego kroku konsekwencji i obowiązków społecznych. Zastanawiać się może nie jedynie nad tym, czy nie pociągnie ona za sobą większej ilości związków nieformalnych, i czy w tym wypadku nie chodzi o większe ryzyko społeczne. Osobiście jestem optymistą i wierzę w wychowawczą rolę prawa.

Mówi prof. UAM, dr Ludwiczak — prawnik:

O ile we Francji lub ZSRR problem wczesnych małżeństw nie jest palący, o tyle u nas ta kwestia istnieje. Odpadło u nas wiele przesądów drobno-mieszczanskich, związanych z małżeństwem, np. wyprawa panny młodej. Równocześnie młodzi popadają w drugą skrajność, lekceważąc sprawy materialne, że „jakoś to będzie”, bo... państwo pomoże.

Innym, ujemnym skutkiem jest rezygnowanie, na skutek wczesnego małżeństwa ze zdobywania pełnych kwalifikacji zawodowych (obserwujemy to wśród studentów).

18-letnie dziewczęta mogą wychodzić za mąż. Kobieta wcześniej dojrzewa fizycznie i umysłowo. — Inaczej z chłopcami, którzy w 18 roku życia najczęściej jeszcze nie wiedzą, jaki wybrać zawód, ale co do wyboru kobiety, mają przekonanie, że ta właśnie, która się spodobała — będzie najlepszą żoną. A potem żona przestaje być „atrakcyjną” i następują rozwody. Uważam, że mężczyźni nie powinni wstępować w związki małżeńskie wcześniej niż po ukończeniu 21 roku życia.

Mówi prof. dr Dreszer — psychiatra:

— Jeden z myślicieli powiedział: „Lepiej się ożenić niż cierpieć żądze”.

— Jest to jednak problem dyskusyjny, uzależniony od właściwości indywidualnych. Nie jestem przekonany, że wstrzymanie się od współżycia seksualnego musi wpływać ujemnie na sprawność i aktywność z tym zastrzeżeniem, że zależy to od harmonijnego ukształtowania się osobowości. U charakterów słabych, przy braku hamulców, może to spowodować nerwicę i przerodzić się w zbrojenia seksualne. W wypadkach krańcowych, grożących patologią, wcze-

sne małżeństwo może mieć uzasadnienie.

Sądzę, że poznanie partnerów winno nastąpić już przed ślubem. Również poziom intelektualny partnerów winien być wyrównany, choć wykształcenie może być różne. Istnieją wtedy warunki dla pełnego zrozumienia w dziedzinie kulturalnej, etycznej, społecznej, co może gwarantować większą trwałość małżeństwa.

Do małżeństwa potrzebna jest pewna dojrzałość — w sensie przydatności społecznej i rodzinnej — która zresztą zmienia się w czasie. Odrzucił postępowanie i specjalizacji powoduje, że co pewien czas przedłuża się studia. Z tym wiąże się późniejsze usamodzielnienie i zajęcie odpowiedniej pozycji życiowej. Obecnie studia kończy się w wieku 23—25 lat. Próg dojrzałości społecznej przesunął się więc w górę. Z drugiej strony — człowiek dochodzi do pełnej dojrzałości psychicznej dopiero po 25 roku życia. Dlatego proponowane zmiany wydają mi się celowe.

Jeszcze jedno: pożądaną jest, aby kobieta była młodsza od mężczyzny o około 5 lat, z uwagi na pewne biologiczne różnice w rozwoju kobiety i mężczyzny, jeśli harmonia charakterologiczna będzie dostateczna.

Podobno każde miasto ma swój własny „smak”. Swoją atmosferę, nastrój, charakter... Coś, co — jak pisał Boy o Krakowie — mury narzucają człowiekowi, kształtując go od wieków według swej „woli”. Coś, co sprawia, iż w Krakowie żyje się nieco ospale acz z niewątpliwym „artystycznym wdziękiem”, w Warszawie wesoło, a w Poznaniu — solidnie i wygodnie.

Nie ma prawdopodobnie dwóch bardziej kontrastowych — pod względem owego „smaku” — miast, niż Poznań i Kraków. Dlatego krakowskie „blaski” są w Poznaniu „cieniami” — i na odwrót. W Poznaniu — dzięki znanej solidności jego mieszkańców, żyje się niewątpliwie wygodniej. W Krakowie, dzięki tamtejszej, pełnej lekkości i „artystycznego bałaganu” at-

bynajmniej nie stwarzają kameralnego, intymnego nastroju! A przecież w poszukiwaniu takiego właśnie nastroju przychodzimy do kawiarni. Krakowskie kawiarnie są oświetlone dyskretnie, światłem przyćmionym, mają pełno uroczych „zakamarków”, nyz, w których nie tylko zakochani lubią się skryć. Kawiarnianego stylu nie stworzy się samą nazwą, choćby nawet tak wyraźną (a gołosłowną) jak... „Stylowa”.

Ale co to? Za zwykłe ciastko każą nam płacić 5 złotych, a za „małą czarną” cztery pięćdziesiąt? Dlaczego? Ano, bo moi mili, Kraków, to także — jak już się rzekło — bałaganik! Na ogół drogi bałaganik.

Są też inne śmieszności tego miasta, które chyba nigdy z uwagi na naszą solidność — nie zdarzyłyby się w Poznaniu.



mosferze — przyjemniej. A gdyby tak pomyśleć o skojarzeniu tych dwóch — jakże bardzo nie pasujących do siebie zresztą — cech?

Zacznijmy od zwykłego spaceru ulicami i podpatrujmy. Zwróćmy uwagę na to, co warto by Krakowowi skraść i ofiarować Poznaniowi. Kraków jest od Poznania uboższy. I w neony i w... kielbasy. Ale spojrzcie na jego wystawy... Każda, choć nie sprawiająca wrażenia rogu obfitości (jak w Poznaniu) przyciąga wzrok swoją harmonijną kompozycją, estetyką. Krakowskie wystawy (oczywiście nie wszystkie) są dziełem plastyków. Czemu z najgłębszego serca życzymy choćby naszym reklamom neonowym (vide „Wrzos”!).

Spojrzenie — to sklep „Cepeli”. Taki sam jest u nas? No — zajrzyjmy. A takie koraliki dla pięknych pań w dzielnicy w Poznaniu? Z pestek ogórka, z korka, z fasoli — nawet z makaronu! Pomysłowe i ładne. Natomiast w poznańskiej „Karolinie” znajdziecie klipsy ze złotymi ząbeczkami dookoła. Aż człek się wstrząsa na sam widok...

Macie teraz ochotę na kawę? Wstąpimy do tej kawiarenki. Prawda, jaka miłutka, zaciszna, przytulna? Nie, to nie jest wyjątek! Wszystkie kawiarnie krakowskie utrzymywane są w tym stylu. Kiedyż wreszcie u nas zechcą wierzyć w to, że jaskrawe, tysiącówkowe oświetlenie i „stodółkowość” sali kawiarnianej

Wyobraźcie sobie taką scenę: duży pokój biurowy, zastawiony po tak zwane „dziurki od nosa” biurkami, stolikami pod maszyną do pisania itd. Od czasu do czasu przez pokój przechodzą malarze z kubkami farby w rękach, w związku z czym podłoga jest malowniczo ozdobiona plamami wapna. Przy jednym biurku urzędniczka zalatwia petentów zgłaszających zgony, przy drugim — urodzenia, przy trzecim wydaje się metryki, a przy czwartym — udziela się obywatelom... ślubu. To już „fantazja” — nawet jak na Kraków i nawet jak na tymczasowo-remontowe warunki — nieco za daleko posunięta.

Niezależnie jednak od tych historyjek, z których zarówno w Krakowie, jak i w Poznaniu można się uśmieć — warto by może pomyśleć o skojarzeniu innych cech obu miast? Być może nasi solidni „krajanie” w równej mierze co zadufani w swą „artystyczną wyższość” mieszkańcy krakusowego grodu — uznają ten rodzaj małżeństwa za mezalians. Mnie się wydaje, że byłaby to jednak dobra partia.

Bo pomyślcie: gdyby tak zabarwić nasz solidny, ale nieco za sztywny sposób życia odrobiną krakowskiej lekkości i polotu? Gdyby poważną, poznańską ciocię ruszyć nieco z kanapki?

Jak myślicie? Czy to może liwe?

KAJ

SIERŻANT Z ULICY WYBICKIEGO



Echa prastarej obrzędowości w świętach Bożego Narodzenia

W wierzeniach ludowych Boże Narodzenie otoczone jest obrzędowością bogatą i wielce skomplikowaną. Skupia się ona wokół wieczoru wigilijnego, choć poszczególne jej składniki wiążą się z uroczystościami całego cyklu świątecznego, do Trzech Króli włącznie.

Wieczór wigilijny, rozpoczynający święta, to wieczór osobliwy, radosny i straszny zarazem; to uroczysta godzina, w której nie ma rzeczy niemożliwych. Wyobraźnia ludowa odślania tu całe swe bogactwo, przenosząc człowieka w świat czarów: ptaki porozumiewają się ludzką mową, podobnie było i ptactwo domowe; nawet pszczoły budzą się w ulach, poczynają brzęczeć i huczeć. Zatopione dzwony skarżą się i jęczą, nawet kamienie wychodzą ze stanu bezwładności i obracają się dookoła swej osi.

Biada jednak człowiekowi, który powodowany próżną ciekawością usiłuje zerwać zasłonę z tajemnicy tej nocy. Tradycja ludowa zachowała wiele opowieści o śmiakach pochłoniętych przez rzeki, w chwili, gdy chcieli zaczerpnąć z niej cudownego wina lub gospodarz, którzy od własnych wołów usłyszeli wyrok śmierci, gdy podsłuchiwali ich tajemnicze rozmowy.

W tym fantastycznym obrazie dadzą się odróżnić pozostałości wyrażenia pogania — hałaśliwej wesołości, i późniejsze chrześcijańskie, o poważnym, skupionym nastroju.

Starożytni Rzymianie w drugiej połowie grudnia obchodzili święto Saturnaliów. Saturn, bóg zasiewów i ziemi, stał się królem i władcą złotego wieku. Legendy, kiedy ludzkość nie znała wojen, przemocy, ani ciężkiej pracy fizycznej, gdyż ziemia zaspokajała wszystkie ludzkie potrzeby. Stąd święto powszechnej równości, dobrobytu otrzymać było łatwiej, nawet dzikiej swawoli. Ten sam charakter nosiła uroczystość noworoczna, zwana Calendae.

Ponieważ pierwszy dzień nowego roku dawał dobry lub zły omen, starożytni starali się uczynić ten dzień wesołym i przyjemnym. W tym dniu składano sobie życze-

nia, posyłano podarki, ofiarowywano wzajemnie zielone gałązki drzew, symbol siły życiodajnej, urządzano uczty, na których spożywano takocie i słodycze.

Kościół katolicki powyższemu pogańskiemu cyklowi świąt przeciwstawił swój własny zespół uroczystości. Jednocześnie istnienie pogańskiej i chrześcijańskiej uroczystości wytwarzało dogodne warunki do przenoszenia poszczególnych czynności obrzędowych i obyczajów z jednej na drugą.

Niektóre zwyczaje przetrwały przez średniowiecze do naszych niemal czasów. Na przykład pierwiastek równości przestrzegany w czasie tego okresu pochodzi ze starożytnego zwyczaju. Saturnaliów w czasie którego niewolnicy otrzymywali zupełną swobodę. W całej Europie, a więc i w Polsce, służba zasiadała w państwie do stołu, nim bowiem zawarto nowe umowy o nowego roku, dawne zobowiązania traciły swą władzę; to też oddawano się powszechnej zabawie z nieodłączną swawolą: „Na święty Szczepan każdy sobie pan”.

W obrzędowości Bożego Narodzenia dadzą się jednak wyróżnić i nuty poważne, uroczyste, które uczony duński Feilberg wyprowadza od zaduszkowej obrzędowości ze Skandynawii.

Naród Wikinów nie świętował na północy odrodzenia się słońca w czasie, gdy w naturze brak słońca, światła i ciepła, gdy dzień jest krótkim zmierzchem między dwiema nocami. Podobna pora roku jest raczej chwilą, która sprzyja duchom ciemności, a przede wszystkim kim ułatwia umarłym powrót na świat. W sagach islandzkich znajdujemy wzmianki, że zmarli, w końcu Bożego Narodzenia spieszili do siedzib ludzkich, by zabijać ludzi i bydło. Podczas wieceży każdy z uczestników zostawał dla nich po łyżce strawy z każdej potrawy. Niektórzy przed wieceżką gośpodni otwierali drzwi, kłaniała się nisko i wzywała: „Niech przybywa ten, kto pragnie przybyć, niech wnijdzie ten, kto pragnie wniść, nie czyniąc jednak krzywdy mnie i moim” (Islandia).

Kolberg wspomina, że unas na Podkarpaciu wieceżka ma poważny charakter, w czasie jej

spożywania nie wolno wstawać i rozmawiać (podobne szczegóły podała Reymont w opisie wieceży wigilijnej w chacie Boryna w Lipcach).

A Wincenty Pol zanotował zwyczaj: „trzy krzesła polskim strojem koło stołu stoją próżne. I z opłatkiem każdy swoim idzie do nich słać długie. I pokłada na talerzu anielskiego chleba kruchy... Bo w tych krzesłach siedzą duchy”.

Nawet nasza wieceżka wigilijna ze swoim tradycyjnym menu jest wielce podobna do uczy zaduszkowej: pszenica, miód, kłuski.

Zakładka wigilijna stosowana w nocy mają na celu zapewnienie urodzaju i powodzenia w gospodarstwie. Pierwotnie nie miały nic wspólnego z kultem przodków, mimo to w drodze skojarzeń złączyły się z nim. Dusze praorców wychodzą z podziemi i mogą dla ziemi, dawczyni rolnictwa i plodów rolnych, uprosić płodność i urodzaj.

W ten sposób Boże Narodzenie można uznać za zimowe święto zmarłych wplecione w echa obchodów saturnalijskich i noworocznych. Poza tymi dwoma pierwiastkami są zwyczaje niewątpliwie chrześcijańskiego pochodzenia, jak np.: opłatki, obchodzenie domów z gwiazdą, szopką, jasełkami.

Dr Stefania FESPER

Jeśli wspominać Poznań, miasto zawsze dla mnie uroczyste i zawsze ciekawe, najbardziej odnajduję w pamięci jego obraz w godzinach, gdy się budził do życia. Tuż przed wschodem słońca, pachnący czystością głównych ulic, parków i skwerów, odgrodzony jeszcze barierami firanek i żaluzji okiennych od dnia, który nadchodził — przyjmował na swe nie rozbudzone ulice robotników. Tych, których wchłaniały bramy „Cegielskiego” i „Braci Nowakowskich”, Staroleka i Główna, Malta i „Umundurowanie” na Jackowskiego... W tym obrazie miasta odnajdywałem harmonię, nierealną przecież w konkretnym, ale w jakiś sposób krzepiącą, przybliżającą widoczność tego, czego pragnęliśmy, my, młodzi z uniwersyteckiej lewicy.

Poznań o świecie...
Ulice i przystanki, tramwaje i autobusy, perony dworca z linii podmiejskich wiązały się w jeden wspólny

St. Poznański
T. Kędziński

obraz ludzi podobnych do siebie w spojrzeniu i w stroju, w ruchach i tonie przygodnej rozmowy, prowadzonej w drodze do pracy.

To był proletariats Poznań.

Zdawało mi się nieraz w tych chwilach, że magnolie na Jasnej kwitną już dla dzieci z baraków Warszawskiego Osiedla, Zawad, z domów-altanek na Ławicy i z chwaliszewskich suterren.

Taki obraz miasta, czekającego na wschód słońca, widzę żywo w swej pamięci, gdy w kwietniowych dniach roku 1935 przemierzałem je rowerem ul. Seweryna Mielżyńskiego poprzez Wały Zygmunta Augusta, Wildę — do Zabikowa. Miałem zebrane komórki — jeśli sobie dobrze przypominam — gdzieś w okolicy Zabikowa. Otrzymałem również polecenie wstąpienia do przebywającej czasowo w Zabikowie żony aresztowanego towarzysza (chyba Kazimierza Żmudy) i przekazania jej dziesięciotowej zapomogi moprowskiej.

Na kilka tygodni przed Pierwszym Maja starałymi się z reguły nie nocować u siebie. Tę noc spędziłem u przyjacielnego z nami Zdzisława Kulpy, z wiejskiej organizacji „Siew”. Na jego to rowerze... nie dojechałem do Zabikowa.

Świadomość tego, że w pokoiku na Wybickiego (nr 2), gdzie mieszkałem, jest przecież chleb, kawa i resztki poznajskiej „metki” — okazała się silniejsza od poczucia ostrożności. Postanowiłem wstąpić na chwilę. Dom znajdował się prawie przy rogu Górnej Wildy.

W otwartych drzwiach mieszkania ujrzałem dwóch policjantów. Byłem aresztowany.

W głębi przedpokoju stali strapieni gospodarze. Na podłodze — istne pobojowisko. Pokoik, w którym z trudem zmieściło się łóżko i pięćdziesięciocentymetrowy stolik, krzesło i coś tam jeszcze, nie pozwalały na rewizję, w której programie znajdowało się rozprucie materacy i dość szczegółowa sekcja poduszki i koldry.

Stoję w miejscu. Ruszyć mi się nie wolno. Po kilku nieistotnych pytaniach policjantów — próba założenia mi na ręce kajdanków.

Cofam się o krok. Ogarnia mnie fala oburzenia, a równocześnie świadomość bezsilności.

— Nie... Nie... Pójdę bez tego.

W tym momencie podbiega do policjanta gospodarz.

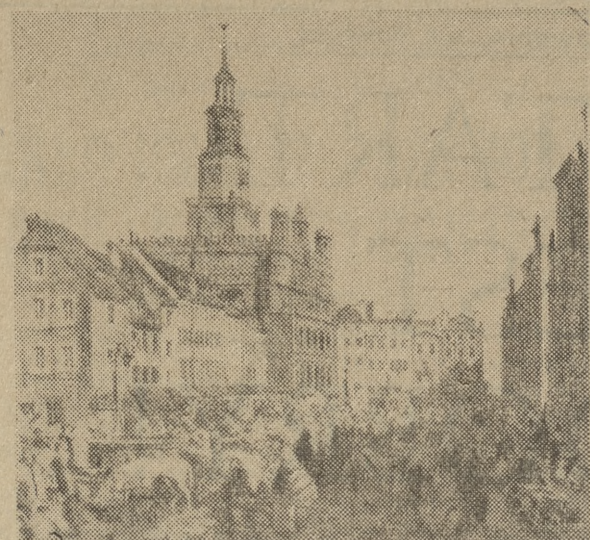
— Panie!... Studentowi?! Co pan robi?!

Chwila ciszy... Policjant chowa kajdanki.

(Dokończenie na str. 7)

Z tomu pt. „Zwycięska wiosna”, nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

WĘDRÓWKI PO STARYM POZNANIU



Rynek poznański w r. 1838, według Bäseler'a

GWIAZDKOWE REMANENTY

Chwalimy dawne czasy, lecz w naszych czasach żyjemy (Owidiusz).

Ktoś wymyślił, że święta Bożego Narodzenia to święta dla dzieci — „że gdyby nie dzieci, to kto by tam...” itp.

Myślę, że sąd ten jest bardzo niedoskonały, i również po dorosłości co nieco zakłamanym. Po prostu nie chcemy przyznać się do tego, że myślimy uciekamy wcale często „w krainę młodości”. że jednak wspomnienia nas biorą. I przygotowując choinkę oraz podarunki, czynimy to także dla siebie, naszym marzeniom w hołdzie. W naszych dzieciach widzimy siebie, doślawie i w przenośni, a odległość obrazu sprawia, iż barwy jego są subtelniejsze, pastelowe, jego rysunek bardziej koronkowy.

„Na dolinie zawierucha, mokrym śniegiem dmie,
Na kominie ogień bucha, trzaska
[w kółko mnie].
Przy kominie z lulką stoję,
[puszczam w kłęby dym,
A wspomnienia wszystkie moje
[leczą razem z nim!]

Czas ucieka, wiersze wspomnień wydłużają się, a kartki kalendarza opadają jak liście — nie tylko zresztą jesienią ale stale, codziennie. W poemacie Wielkopolańska generała Franciszka Morawskiego z tego powodu: „Nowy kalendarz” tak go pociesza:

Świat się opuścił, lecz tylko [dlatego,
Zeż już nie jest z tego czasu.
Toż samo za rok i mnie oczekiwano,
Toż samo wreszcie i wśród ludzi [bywa;
Wszystko, co niegdyś tak miało [chwałę,
Słynne poety, wodze, dygnitarze,
Dawne wolności, panny podsta- [rzale,
Wszystko to, wszystko, stare [kalendarze...

„Dawniej to były jednak lepsze święta” — podsuwać nam będzie jakiś śledziennik, tkwiący w przeszłości nie tylko wspomnieniami, ale i duszą całą. Podobno było więcej śniegu i więcej czasu. Co do czasu, to pewnie się i zgadza. Bo czy moglibyśmy sobie pozwolić na to, by jak 8-letni Kazio Ulatowski krążyć przez dwie godziny w największej rozterce między budmiami jarmarku gwiazdkowego

na Starym Rynku? W garści ścisnął 10 fenigów, nagrodę za dobre noty na świadectwie o-kresowym. Czuł, że konieczne, absolutnie konieczne musi gotówkę wydać.

Jarmarki gwiazdkowe na Starym Rynku przetrwały do roku 1914. Odbływały się w tygodniu przedświątecznym, i wierząc Obywatele najmilsi, były naprawdę wielkim przeżyciem dla różnych Kaziów.

Toteż wyżej wspomniany potencjalny klient jarmarczny i 10-fenigowy utracusz przemartł do szpiku kości i rozważał, kalkulował. „Placka nie kupię — kombinowałem — w domu dostanę za darmo i lepszy. Dobra byłaby gwizdawka, ale zaraz odbiorą i nie pozwolą pisać... „Ostatecznie kupię więc notesik w ceratowej oprawie, z papierem „słomkowym” i „tutką z ołówkiem”. Najgorzej nastąpił jednak w domu, bowiem najdłuższe i najwnikliwsze medytacje nie doprowadziły właściciela ceratowego notesu do rozstrzygnięcia dylematu „Co w nim zapisać?” Był to bowiem rok 1892 i problem ponad siły Hamleciatka...

A pamiętacie w drugie święto, w dzień św. Szczepana, „targ na ludzi” wokół figury św. Jana Nepomucena? Bywało w dniu tym pod figurą wesoło, tłoczno, czasem zgół operetkowo. Zbierała się na Starym Rynku służba domowa wszelkiego kalibru i czekała na nowych chlebo-dawców. Widowisko w rodzaju libretta do poznańskiej „Marty”, która może też czekała na swego kompozytora. A może Mistrz Długopis operę ludową napisał wzięwszy Świętego Jana za nogi, a pierogi za rogi?

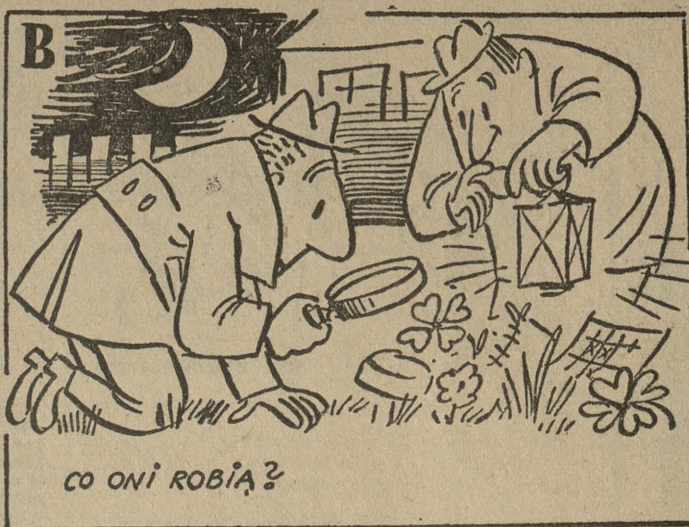
Skoro już o jarmarkach na Starym Rynku mowa, to przypomnijmy także bamberki do-stojne, które w sąsiedztwie Pręgiarza mleko sprzedawały. Po ukończonym targu, te, prze-ważnie wildeckie i z reguły zamożne obywatelki, spotykały się u Pfiznera na kawie i ciastkach. Biedniejszy naród handlarski wypełniał gar-kuchnie i knajpy przy ulicy Wiankowej, stanowiącej pasaż pomiędzy domami na linii ulic Wrocławskiej — Wronieckiej. Tam też — „u Zientkiewicza” — mieszkańcy wsi okolicznych i dalszych kupowali instrumenty muzyczne tanie a głośnie.

Był tam i golibroda, nieprawy potomek Figara. Był mniej-wytworny i nie tak muzykalny (zresztą muzyką zajmował się Zientkiewicz!), ale za to z jego razury niejednokrotnie wydobywały się jęki i płacze. Rwał bowiem także zęby, szczypcami bardziej do potrzeb młodych słoń dopasowywanymi. Znam ten ból, bom też się u tego balbierza dał w niebógłasy Roku Pańskiego 1911.

Wiadomo, że przed Bożym Narodzeniem wypadają tygodnie adwentowe z roratami. Któregoś tam roku, właśnie w adwencie, może to było w 1899 lub 1900-ym, trzech starszych już gimnazjalistów z Marny, snobizujących na „doro-słych”, zamarużyło jakoś do bar-do późnego wieczoru, a raczej wczesnego dnia. Był bilard, piwo — słowem raczej niewinnie. Był Tomek Skalski, Olek Ratajczak i Maryś Andrzejewski. Tomek Skalski miał surowego ojca, więc o drugiej w nocy wycofał się. Ko-

(dokończenie na str 7)

Fot.: H. Dera



Kupon ten wytnij i wyslij:

„Nowy Świat”, Poznań,
ul. Grunwaldzka 19

Rozwiązanie konkursu brzmi:

Wysła:

adres:



Wesoły konkurs świąteczny

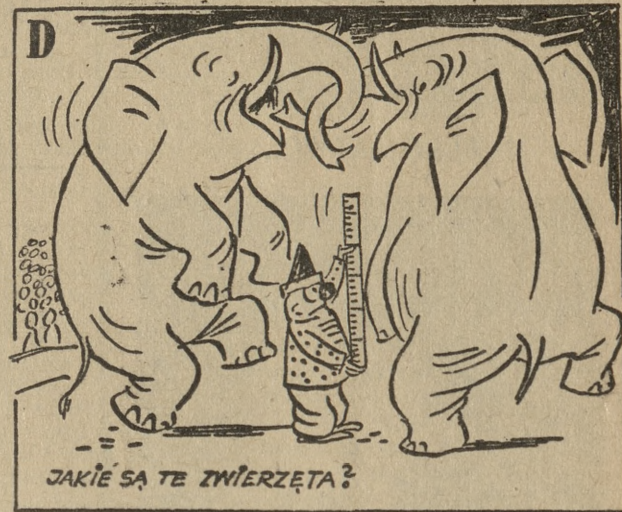
Tradycyjnym zwyczajem zapraszamy naszych Czytelników do udziału w świątecznym konkursie rozrywkowym.

Tym razem Wasze zadanie będzie polegało na udzieleniu odpowiedzi na pytanie, umieszczone pod każdym rysunkiem. Rysunki (od A do G) ułatwią Wam znalezienie właściwej odpowiedzi. Ale uwaga! — odpowiedzi na pytania A, D i E muszą ograniczyć się do jednego wyrazu, odpowiedzi na pyt. B, G i F mają po 2 wyrazy, a odpowiedzi na pyt. C — trzy. I druga uwaga — żaden wyraz nie może się powtarzać!

Radzimy — obejrzyjcie dokładnie rysunki, i zwróćcie uwagę na to, aby odpowiedzi były jak najbardziej logiczne i... poprawne gramatycznie. Inaczej trudno będzie Wam odgadnąć rozwiązanie konkursu. A są nim dwa zdania, złożone ze słów — odpowiedzi, ułożonych kolejno według rysunków od A do G.

A oto nagrody, ufundowane przez Poznańską Grę Leczbową „Koziołki”:

pralka elektryczna ■ rower męski z importu ■ dwa zegarki na rękę ■ dwa serwisy do kawy ■ dwie pary łyżew ■ kupon na suknię balową wartości 400 zł ■ 15 wartościowych książek.



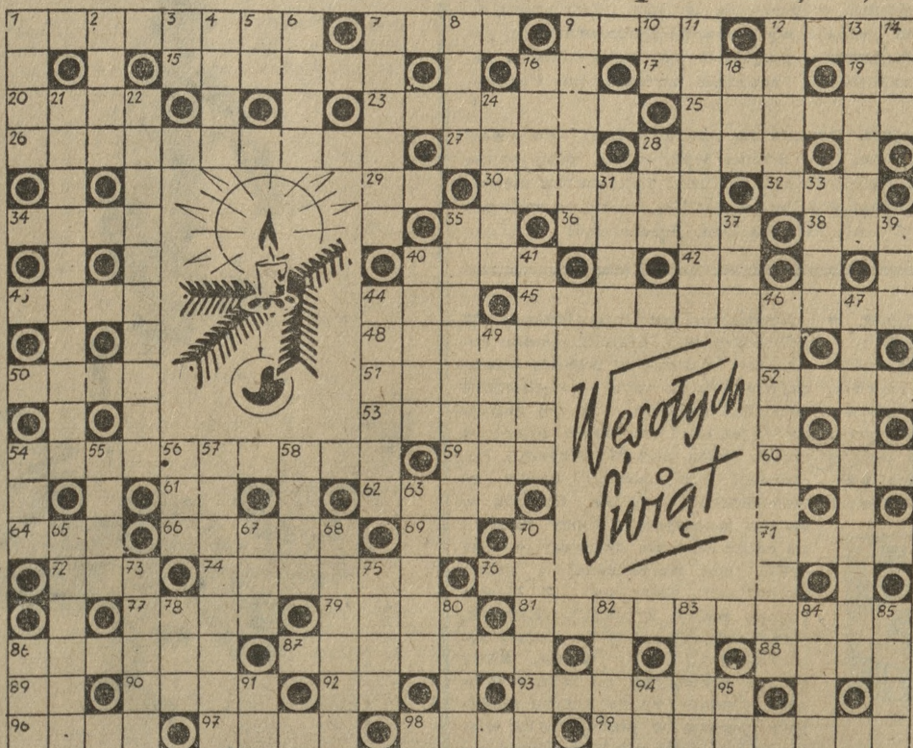
Rys.: Henryk Derwich



Nagrody te rozlosujemy wśród autorów poprawnych odpowiedzi, jeżeli odpowiedzi te wysłane będą pod adresem naszej redakcji, z wypełnionym kuponem oraz dopiskiem „konkurs świąteczny” — najpóźniej 31. 12 br. Na kuponie nie trzeba zaznaczać kolejności odpowiedzi — wystarczy, jeżeli umieścicie na nim oba zdania, dające rozwiązanie.

Przyjemnej zabawy!

KRZYŻÓWKA (również podwójna)



Jako nagrody rozlosujemy 10 wartościowych książek, oraz trzy nagrody niespodzianki. Termin nadsyłania odpowiedzi — 31 bm., z zaznaczeniem na kopercie „krzyżówka”.

POZIOMO: 1 — ulubiony bohater 13 — latków, 7 — opowieść, legenda, 9 — jazda tramwaju czy tak-
sówki, 12 — przepływa przez Głogów, 15 — dzieł-
nica w Poznaniu, 16 — termin bokserki, 17 — moneta angielska, 19 —
dodane do oznaczenia tonu
obniża go o pół tonu, 20 —
pora roku, 23 — coś z
kosmetyki, 25 — styl w
architekturze, 26 — bajki,
opowiadania, 27 — wybrzu-
szenia skalne w języku ta-
ternickim, 28 — zabawa,
wesoly kawał, 29 — „i” po
lacinie, 30 — tytuł opery
Bizeta, 32 — rzeka po hisz-
pańsku, 34 — skrót znane-
go dziennika, wychodzą-
cego przed wojną w Kra-
kowie, 35 — 3,14, 36 —
głównodowodzący generał
francuski w Algierii, 38 —
zabawy, 40 — książka zna-
ny w literaturze polskiej,
42 — tytuł naukowy w
skrótce, 43 — pozostałość,
44 — podarek, 45 — ożenił
się z Zosią, 48 — rzeka w
Tatrach Słowackich, 50 —
wypijalica, 51 — urządzenie,
oddające duże usługi lot-
nikom, 52 — znany z ba-
jek, 53 — spotykamy ją w
mieszkaniach prawosław-
nych, 54 — stolica Mada-
gaskaru, 59 — „zaprawa”
szklarza, 60 — imię męskie,
61 — miara powierzchni,
62 — wpada do Odry, 64
— szpalta, 66 — święto
czarownic, 68 — nie ja,
71 — imię sławnego śpie-
waka włoskiego, 72 — zna-
ny był z niego Cyrano de
Bergerac, 74 — legendarny
diabeł, 76 — inicjały au-
torki „Moralności pani
Dulskiej”, 77 — port na
Półwyspie Arabskim, 79 —
herb zdradzanego męża,
81 — patronuje w niejed-
nym biurze, 86 — pismo
satyryczne, 87 — wiszą na
ścianach, 88 — mieści się
w kuchni, 89 — rzeka na
Syberii, 90 — przyskają ze
sztucznych ogni (wspak),
92 — inicjały obecnego pre-
zesa Związku Literatów
Polskich, 93 — ukraińska
zagroda, 96 — ujęcie fil-
mowe, 97 — zwrot staro-
polski, 98 — przyozdabia-
my nią choinkę, 99 — wy-
ruszył na wojnę z powodu
niewiernej żony.

PIONOWO: 1 — domek
z lodu, 2 — szybka, zmięk-
ająca kontury, znana
fotografom, 3 — karta, 4
— tytuł znanej sztuki Ib-
sena, 5 — nazwa samolotu
radzieckiego, 6 — lekar-
stwo, które często zaży-
wają dzieci (wspak), 7 —
agent, 8 — ułomność, 9 —
zabawa pożegnalna, 10 —
znana z czterech jeźdźców,
11 — pieśń miłosna,
12 — amerykańska nagro-
da filmowa, 13 — naczelna
władza uczelni, 14 — owad
(wspak), 16 — bryla geome-
tryczna, 18 — pora prze-
znaczona na spanie, 21 — au-
tor „Reportażu z Czardziejskiej góry”,
22 — roślina dająca owoce,
24 — autor „Szpilek” i „Kaktusa”,
28 — popiersie, 78 — cho-
pob z bałtyku, 31 — au-
mieszczanie mieszkalne, 82
— tytuł powieści Turgie-
33 — zniżki (wspak), 35 — au-
dystynał z nich Chamfort i
ba psa, 84 — księżniczka
Oskar Wilde, 37 — pań-
stwo w Europie w skrótce,
Goy'i jako modelka, 85 —
39 — tytuł znanej powieści
mądre ptaki (wspak), 86 —
Tyrmanda (wspak), 40 — ucze-
sanie, 91 — np. „Ba-
prowizoryczny domek, 41
tury”, 94 — nie tamte,
— przyrząd, urządzenie, 95 —
w muzyce: inaczej
44 — imię bohatera tytułu-
„d”.

CZTERY (psie) TEMPERAMENTY



FLEGMATYK...



...SANGWINIK...

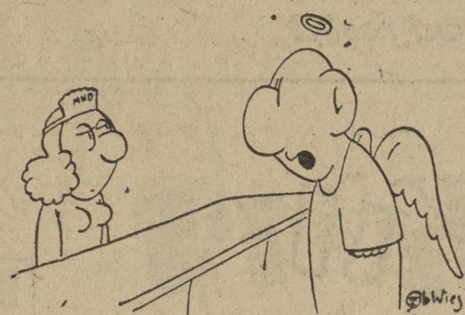


...MELANCHOLIK...

...I — niestety, zdjęcie całego chólerka nie możemy zamieścić. Jak każdy chólerka, był w złym humorze i narzucił nam obiektyw tudzież dołączył część garderoby fotografa...



Rys. Zbigniew Jujka



Rys. W. Fuglewicz

— Czy są anielskie włosy?



Subtelna. Pyta Pani, jak posadzić przy wigilijnym stole męża, przyjaciela i teściową, i czy przyjaciel nie poczuje się dotknięty siedząc obok teściowej. Proponujemy ustawić krzesła tak, aby było między nimi ok. 50 cm luzu.

Szczery z Rawicza. Pomysł przystrojenia choinki karykaturami współlokatorów — niezbyt nowy i nieco ryzykowny. Chyba, że ma Pan już przydział na nowe mieszkanie.

Mimoza, Pyzdry. Nie sądzimy, aby życzenia świąteczne były okazją do wyrażania właściwych uczuć wobec męża. Życzymy tradycyjnie „wszystkiego najlepszego”, nie tracąc ufności w opatrność boską i sprawiedliwy wyrok historii.

Marek Kołczek. W wypadku dławienia się ością należy nie tracić pogody ducha. Okrzyki „o rany!”, „bij mnie w plecy!”, „konam!” itp. — są niezbyt smaczne. Należy poprzestać na zabarwieniu twarzy na modny, pastelowy kolor; w ostateczności delikatnie wyziewamy ducha, bacząc by nie odrywać uwagi gości od wieczerzy.

Ewa. Obawiamy się, że p. Adam zje jabłko, nie dostrzegając aluzji. Ostatecznie nie żyjemy w raju.

Strapiiony z ul. Grochowe Łąki. Nie bardzo rozumiemy, dlaczego brak panu pieniędzy. Czyżby pan nie sprzedał wszystkich butelek po wódce?

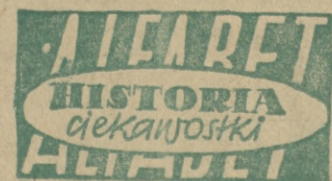
Stefania Kolanko. „Żyjemy z tą wydrą z parteru jak pies z kotem, a tu nagle składa nam życzenia”. Nie dziwny się; przecież, jak mówią legenda, w noc wigilijną zwierzęta mówią ludzkim głosem.

Stały bywalec. Trudno nam odpowiedzieć, w jakim stopniu zaśpiewanie kolędy „Przybieżeli do Betlejem” w izbie wytrzeźwień może urazić jej gościńnych gospodarzy, jako że poczucie humoru naszych milicjantów znacznie wzrosło po Październiku.

Nowicjusz. Przepis na dobrą babkę? Oto uwagi ogólne: musi być dobrze wyrosnięta, dostatecznie pulchna i gustownie przybrana. Taka babka nie powinna stanąć gościom w gardle, chyba, że woli pan pozostać z nią sam na sam. Smacznego!

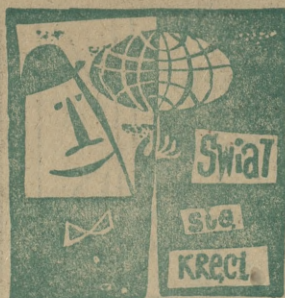
MIKORZYN w powiecie konińskim. Nazwa od Mikora. Wieś istnieje od roku 1416. Niedaleko na jeziorze jest wyspka, na której rozegrała się jakaś tragedia miłosna; na jej kanwie o auto potem różne legendy. Jedną z nich podajemy za Z. Pęcherskim z przewodnika „Konin — Słupca — Koło”:

Była sobie piękna Klara, bogata, kapryśna i kpiąca z miłości. Był też przystojny rycerz Janusz, zwany Białym, dla srebrnej zbroi, białego płaszcza, jasnych włosów i... białego konia, który (rycerz nie koń!) zakochał się w Klarze. Niestety, dostał kosa, ale zostawił kapryśnicę na wszelki wypadek pierścienia (jak widać, znał się na kobietach!). Ciąg dalszy następuje zgodnie z prawami legendy: dziewczyna wykrada przemocą rycerz-rozbójnik Garca. W ostatniej chwili piękna Klara przesyła pierścień Januszowi z prośbą o pomoc. Janusz nadjeżdża ze swoimi towa-



ką, on na koniu skacze w głębinę. W tej chwili z wód wylania się wyśpa, na której Klara spędzi resztę życia. Na brzegu jeziora raz po raz błąka się, ponoć, duch rycerza Białego, wróżąc nieszczęście...

Słyszałem też inną legendę. W pobliskiej wsi, niejaki Siemko kochał się szalenie w pięknej dziewczynie. Cóż z tego — kochańców rozłączyła wojna. Tak się złożyło (w legendzie), że oboje zginęli w czasie walki pod Mikorzynem. Pochowali ich dobrzy ludzie na wspomnianej wyspie. Co rok w święto zmarłych chłopcy śpiewali na cześć Siemka, dziewczyny — na cześć jego narzeczonej i razem przeklinali zabójców: „Z biesem razem podły krzok...”. (Krzyżak, Krzyżak?). Obrzędy te zostały zaniedbane dopiero wtedy, kiedy łódź z pływaczami na wyspę zatona. Dodam, że na krzyżu mogiłym jeszcze w połowie XIX wieku był wyryty rok 1338. Świadczyłoby to o jakiejś rzezi, dokonanej przez Krzyżaków. Ale w legendzie, jak w legendzie — trudno dociec, co prawda, a co fantazja. (dp)



Wiadomo — kobieta

W Brentfordzie pod Londynem dokonano dwukrotnego napadu na bank. Jedną z sekretarek w czasie przestępstwa opisała bardzo szczegółowo sprawcę napadu. Po pewnym czasie w jednym z lokali zaarrestowano mężczyznę, którego rysopis zgadzał się dokładnie z relacjami sekretarki, ale... wypuszczono go szybko na wolność. Był on wprawdzie włamywaczem, lecz jedynie na ekranie, w filmie, który niedawno oglądała „sposzregawca” sekretarka.

Paryż na sukni

Twórcy mody nie ustają w staraniach o przeliczowanie się nawzajem w pomysłach. Najnowszą ekstrawagancją jest lansowana przez Jean'a Vercors suknia z nadrukowanym planem Paryża; czerwonym punkcikiem i strzałką zaznaczony jest adres posiadaczki oryginalnego stroju. Według zapewnień p. Vercors, dzięki tego typu modelom zawarto już sześć małżeństw.

Hula - hoop w Kanadzie

Nieoczekiwane zastosowanie obręczy do zabawy w „hula - hoop” znaleźli Indianie kanadyjscy. Okazało się bowiem, że obręcze te znakomicie służą do napinania skór bobrowych.

Auto-dziwo

Na jednej z wielu wystaw samochodowych w Paryżu pokazano auto-marmarzenie kobiety. Oczywiście pojazd nie nadawał się do praktycznego użytku i był tylko reklamowym wabikiem. Wewnątrz wbudowany był miniaturowy bar, toaletka z kosmetykami i większym lustrem, biały telefon, okno z półką na kwiaty oraz złożona klatka z dwoma gołębiami. Brakowało tylko gwiazdki z nieba i... Gerarda Philippe'a.



W nowym filmie Yves Ciampiego pt. „Zrywa się wiatr” sygnna z „Czarownic z Salem” Mylene Demongeot występuje obok doskonałego Curda Jürgensa, którego pamiętamy z filmu pt. „Bohaterowie są zmęczeni”.



Kto co? — Oczywiście — Gerard Philippe. Tym razem jako Aleksiej w filmie reż. Autant-Lary według powieści Dostojewskiego „Gracz”. Obok niego występuje młoda aktorka niemiecka L. Pulver (Paulina), Fr. Rosay i B. Blier.



Znany kompozytor angielski — Benjamin Britten napisał misterium pt. „Arka Noego”, którą ostatnio wystawiono w Londynie. Role poszczególnych zwierząt odtwarzały dzieci.



Dla brydżystów

CIEKAWY PROBLEM „UKŁADOWY”

♠ D 9 8 4
♥ A 9 8 7 6 4 3 2
♦ —
♣ —
♠ K 7
♥ K 10 5
♦ 6 2
♣ A 9 7 6 4 3
W N E S
♠ 10 6
♥ W
♦ K D W 10 9 5 4 3
♣ D 10
♠ A W 5 3 2
♥ —
♦ A 8 7
♣ K W 8 5 2

S gra szlemika w pik. Pierwsze wejście W — 6 karo. Jak powinien rozgrywać S? I nieco trudniejsze — w jaki sposób S może wygrać szlemika, jeśli W zamiast 6 karo wyjdzie asem trefli? Oczywiście — w obu przypadkach zakładamy bezbłędną obronę przeciwników. Uwaga! Wśród autorów poprawnych odpowiedzi rozlosujemy 3 komplety kart do brydża. Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 31 bm. (Poznań, Grunwaldzka 19), ko- niecznie z zaznaczeniem na kopercie lub pocztówce „problem brydżowy”.



Rys. Zbigniew Jujka



Oto występ kłownów szwajcarskiego cyrku w programie świątecznym. popisy akrobatyczne na lodzie.